

Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny. Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny. Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny.

Takiemu ujęciu sprawy kultury i sztuki poświęca się specjalny rozdział w książce, który jest bardzo ciekawy i pouczający. Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny. Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny.

Podsumowanie książki jest bardzo ciekawe i pouczające. Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny. Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny.

Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny. Wskazuje, że jest to nie tylko problem historyczny, ale przede wszystkim problem kulturowy i społeczny.

Andrzej Chlebowski

#### Rudolf Jamka, OSADNICTWO GRODOWE NA ŚLĄSKU W ŚWIETLE METODY IZARYTMICZNEJ, „SLAVIA ANTIQUA”, t. 8: 1961, s. 125-155.

Szybkie tempo rozwoju prahistorii polskiej „nie jest widoczne w ewolucji naszego aparatu badawczego, a więc w rozbudowie metod świadczących o naszych zdolnościach poznawczych”. Takimi słowami rozpoczyna prof. R. Jamka swój artykuł poświęcony metodzie izarytmicznej. Trudno nie zgodzić się z tą deklaracją. Wydaje się jednak, że artykuł prof. Jamki i zawarte w nim propozycje wymagają szczególnego rozpatrzenia, ponieważ kryją się w nich momenty wysoce dyskusyjne, właśnie z metodycznego punktu widzenia.

Wprowadzenie nowości do arsenału metod jakiegokolwiek dyscypliny oplaca się w dwóch wypadkach: po pierwsze wówczas, gdy dzięki tym nowościom możemy wyśledzić fakty dotychczas w ogóle niewidoczne lub lepiej dostrzegać fakty widoczne niewyraźnie, po wtóre tam, gdzie nowa metoda ułatwia i upraszcza naszą pracę zmniejszając wysiłek, jakiego wymaga od nas proces badawczy. Zastanówmy się, czy proponowana przez prof. Jamkę metoda izarytmiczna spełnia omówione warunki, a przynajmniej czy spełnia je na odcinku badań nad „osadnictwem grodowym”?

Można powiedzieć, że metoda izarytmiczna jest odmianą metody kartograficznej. Polega na konfrontowaniu faktów archeologicznych z mapą. Jej specyfika wyraża się w szczególnym potraktowaniu mapy, dzięki któremu możemy ustalać zagęszczenie

badanych zjawisk na wybranej umownej jednostce powierzchni (100 km<sup>2</sup>) i przetłumaczyć niewymierne lub niedokładnie wymierne zjawiska historyczne na ścisły język liczb. Na pierwszy rzut oka — wszystko w porządku. Jednakże czytelnik obeznany ze sporami, jakie toczyły się swego czasu w archeologii polskiej na temat różnych wariantów metody wykopaliskowej, łatwo dostrzec nieoczekiwane, ale niewątpliwe podobieństwo łączące metodę izarytmiczną z lansowaną swego czasu przez W. Hołubowicza „metodą metra kwadratowego”. W „metodzie metra kwadratowego” nie doprowadzano sprawy do końca, to znaczy nie wykreślano izarytmów, ale zasada lokalizowania i analizowania zjawisk archeologicznych w ramach mechanicznej jednostki powierzchni jest w obu wypadkach taka sama. Pamiętamy, że zarzuty podnoszone przeciw „metodzie metra kwadratowego” dawały się właściwie wprowadzić do dwóch najważniejszych. Twierdzono mianowicie i nie bez racji, że posługiwanie się tą metodą wobec zabytków występujących masowo (np. ułamki ceramiki) jest zbyt pracochłonne w stosunku do uzyskiwanych wyników. Z drugiej strony, w odniesieniu do zabytków występujących pojedynczo „metoda metra kwadratowego” stosowana rygorystycznie nie wytrzymuje porównania z trójwymiarowym lokalizowaniem poszczególnych zabytków w granicach 1 cm, przede wszystkim dlatego, że zrywa, a przynajmniej osłabia związek pomiędzy konkretnym źródłem archeologicznym a kontekstem, w którym źródło to występowało. Ukazuje zabytek nie na tle jamy, paleniska, czy też ziemianki, lecz na tle abstrakcyjnej jednostki powierzchni, jaką jest mechanicznie wykreślony metr kwadratowy. Wydaje się, że w wypadku omawianych propozycji prof. Jamki mamy do czynienia z sytuacją analogiczną. Stosując przy badaniu „osadnictwa grodowego” metodę izarytmiczną rozluźniamy związki grodów z terenem, w którym tak mocno przecież są osadzone.

Spójrzmy dla przykładu na linię grodów nad Baryczą. Widać je doskonale na 2 i 3 mapie prof. Jamki, gdzie dokładnie skartowano poszczególne grodziska na terenie Śląska i obszarach przyległych. Dzieli się ona na dwa odcinki. Przerwa pomiędzy nimi (na wschód od Żmigrodu) odpowiada po prostu silniej nawodnionej, a zwłaszcza silniej zalesionej partii doliny. Całość stanowi funkcjonalny zespół wyraźnie osadzony w terenie i pełniący konkretną, dość oczywistą funkcję. Na dalszych mapach prof. Jamki (nr 4 i 5), gdzie znikają już pojedyncze grodziska ustępując miejsca najpierw liczbom wpisanym w siatkę kwadratów, a następnie liniom izarytmów, rzeczy nie rysują się już tak jednoznacznie. Łańcuch grodów nadbaryckich rozpada się na dwie, na pozór odrębne grupy, nawiązujące za to każda z osobna do dalszych i większych skupień: nad Odrą i w płd. Wielkopolsce. Związek grodzisk z podłożem geograficznym, z doliną rzeczną, ulega zupełnemu zatarciu. Na miejsce geograficzno-historycznego konkretnego otrzymujemy obraz oderwany od rzeczywistości, chciałoby się powiedzieć: obraz abstrakcyjny.

Nie zawsze tak jest. W wielu wypadkach to, co prezentują nam oba rodzaje map, pokrywa się ze sobą dość ściśle. „Najmniej grodzisk jest pomiędzy Nysą Łużycką a Bobrem i kolaniem Odry, następnie we wschodniej części Górnego Śląska i na Śląsku Cieszyńskim”, pisze prof. Jamka analizując śląskie osadnictwo obronne na podstawie prostego skartowania stanowisk (s. 128 i mapa 2). Zastosowanie metody izarytmicznej prowadzi do takich samych wniosków. Tereny ubogie w grody rysują się „...pomiędzy Nysą Łużycką a Bobrem...” (z przedłużeniem w stronę Głogowa, Zielonej Góry i na prawym brzegu Odry poniżej ujścia Baryczy), „...we wschodniej części Górnego Śląska na obszarze położonym na północ od Małej Panwi oraz w górnym dorzeczu Wisły na Śląsku Górnym i Cieszyńskim”. Dochodzi do tego obszar „...pogranicza Czech i Śląska, zwłaszcza w kierunku wschodnim od źródła Kwissy” (s. 129 i mapa 5). Należy podkreślić, że choć prof. Jamka o tym nie mówi, ten ostatni rejon rozrzedzenia osadnictwa, odpowiadający po prostu Karkono-

szom, rysuje się zupełnie wyraźnie także i na mapie 2 (bez izarytmów). Przyczyny takich zbieżności wydają się oczywiste. Tam gdzie zjawiska archeologiczne występują w związku z szerszym tłem geograficznym, a więc np. w związku z pasmem górskim (Karkonosze, Beskid Śląski) lub obszarem puszczańskim (Bory Dolnośląskie, Lasy Lublinieckie), metoda izarytmiczna nie jest w stanie związku tego rozerwać i dzięki temu dostarcza nam danych zgodnych z rzeczywistością. Oczywiście, stosując przy wykreślaniu izarytmów siatkę kwadratów o boku mniejszym niż 10 km, można doprowadzić do poszanowania także i związków bardziej szczegółowych, np. z doliną rzeczną, należy jednak wątpić, czy byłoby to celowe. Przecież w najlepszym razie możemy w ten sposób uratować od zniekształcenia obraz uzyskany i tak dzięki prostemu skartowaniu stanowisk!

Uwagi, choć dotyczą spraw najbardziej podstawowych, nie wyczerpują jednak bynajmniej wszystkich metodycznie dyskusyjnych treści zawartych w artykule prof. Jamki. Aby ułatwić sobie dalsze rozumowanie, założmy, że nasze poprzednie zastrzeżenia są niesłuszne, że stosując metodę izarytmiczną można rzeczywiście dojść do wyników nieosiągalnych za pomocą innych prostszych metod, że mapa 5 prof. Jamki przedstawia nam wiernie i przejrzyście rozprzestrzenienie grodów na terenie Śląska. Powstaje wówczas pytanie, o jakie grody chodzi? Z uważnej lektury wynika, że w omawianym artykule zostały uwzględnione na równych prawach i jednocześnie w s z y s t k i e grodziska zinwentaryzowane na Śląsku (por. s. 127 i 133, 134). Wszystkie, to znaczy dość niepewne stanowiska neolityczne, następnie łużyckie (mniej liczne niż dawniej sądzono), wreszcie najliczniejsze — wczesnośredniowieczne. Prof. Jamka zdaje sobie oczywiście sprawę, że w takim ujęciu mogą się kryć błędy: „...błędy te będą musiały istnieć, gdyż na Śląsku z paruset obiektów uważanych za obronne ani jeden nie został w całości zbadany”. Jednakże skoro większość badanych grodzisk jest pochodzenia wczesnośredniowiecznego, mamy prawo traktować wszystkie skartowane punkty warowne „jako stanowiska z okresu kształtowania się państwa polskiego” (s. 127, 128). Z taką postawą nie sposób nieestety się zgodzić. Możemy zapewne przejść do porządku dziennego nad bardzo rzadkimi i może niezbyt pewnymi obiektami związanymi z neolitem. Możemy od biedy, choć nie bez zastrzeżeń, machnąć ręką na wyodrębnianie grodzisk „łużyckich”, a także i grodzisk celtyckich, z których ewentualnym odkryciem możemy się liczyć, przynajmniej w niektórych częściach Śląska. Chętnie chcemy wierzyć, aczkolwiek jest to właśnie wiara *in verba magistri*, że wszystkie te starsze warownie stanowią istotnie nic albo niewiele znaczącą część całego materiału, w ogromnej przewadze wczesnośredniowiecznego. Czym jest jednak ten materiał wczesnośredniowieczny? Czy pod wspólną etykietę nie trafiają tu zjawiska z gruntu różne tak jakościowo (pierwotny, wczesnofeudalny gródek plemienny, książęcy gród plemienny, książęcy gród „kasztelański”, warowna osada miejska, obronny dwór możnowładcy feudalnego), jak też chronologicznie (VII—XIV w.)? Czy rzeczywiście możemy te liczne obiekty powstałe w ciągu 700—800 lat odnieść do „okresu kształtowania się państwa polskiego”? Na pytanie to trudno dać odpowiedź twierdzącą.

W dodatku prof. Jamka nie poprzestaje bynajmniej na synchronizowaniu grodzisk śląskich z powstaniem państwa polskiego, a więc ze zjawiskiem bądź co bądź dość rozciągliwym w czasie i nie przez wszystkich jednakowo rozumianym. W omawianym artykule odnajdujemy konfrontacje materiału archeologicznego z faktami historycznymi znacznie bardziej sprecyzowanymi chronologicznie, takimi jak istniejące na Śląsku terytoria plemiennie, albo jak działania wojenne rozgrywane kolejno na obszarze Śląska w IX—XII wieku. Autor *Osadnictwa grodowego* próbuje więc porównywać dane dostarczane przez metodę izarytmiczną z liczbami „civitates” przypisanymi w przekazie Geografa Bawarskiego Dziedoszanom, Słężanom czy Opolanom.

Pomijamy tu dyskusyjną wartość tłumaczenia „civitates” przez „grody” (jak na s. 136), zresztą sam prof. Jamka w innym miejscu (s. 137) rozwiązuje ten łaciński termin jako „zespoły grodowe”. Bardziej niepokoją próby wyjaśniania stwierdzonych rozbieżności. Rozbieżności są niemałe. U Dziadoszan wg Geografa Bawarskiego 20 „civitates”, wg prof. Jamki — niespełna 100 „stanowisk obronnych”. W wypadku Ślązan odpowiednie liczby wynoszą 15 wobec niespełna 300, w wypadku Opolan: 20 i 70. Zdaniem prof. Jamki różnice te powstały dzięki nieścisłościom w wykazie Geografa (s. 137), lub też dlatego, „...że wiadomości przekazane nam przez tego kronikarza (należy wątpić, czy określenie „kronikarz” jest tu na właściwym miejscu! — A. N.) odzwierciedlają tylko pewien etap rozwoju przestrzennego, który w czasach późniejszych osiągnął stan maksymalny”. W istocie, źródłem niezgodności jest po prostu porównanie dwóch obrazów absolutnie nieporównywalnych. Relacja Geografa Bawarskiego dotyczy przecież konkretnej sytuacji historycznej, istniejącej w drugiej połowie IX w. W takie wąskie ramy nie da się żadnym sposobem wtłoczyć tego, co narastało i obumierało w ciągu około 800 lat (od VII do XIV w.), jeśli nawet pominąć grodziska z dawniejszych epok.

Dalsze nasze wątpliwości wiążą się po trosze z pierwszorzędnym, a wciąż zbyt mało dyskutowanym problemem, jakim jest wykorzystywanie dla potrzeb archeologii źródeł na piśmie. Wydaje się, że mimo dużego postępu, jaki można ostatnio stwierdzić w tym zakresie, archeolodzy wciąż zbyt łatwo poddają się autorytetowi słowa pisanego, i to bynajmniej nie tylko słowa zawartego w samym źródle. Zbyt często przyjmujemy domysł kolegi-historyka za hipotezę, hipotezę za fakt dowiedziony. Zbyt często odczytujemy w źródłach pisanych i jeszcze częściej w opracowaniach to, co chcemy odczytać, co pasuje do naszej koncepcji. I niewielka to dla nas pociecha, że to samo, *mutatis mutandis*, można powiedzieć o stosunku historyków do źródeł i literatury archeologicznej. „Do walk o ten teren (sc. teren Śląska — A. N.) w czasie najazdu Wielkomorawian nie mamy odpowiednich materiałów dowodowych”, czytamy w artykule prof. Jamki (s. 143), przy czym z kontekstu wynika niedwuznacznie, że chodzi tu o materiały archeologiczne. Powstaje pytanie: co my w ogóle wiemy o „najeździe Wielkomorawian” na Śląsk? Sam fakt przynależności tej produkcji do Rzeszy Wielkomorawskiej jest w końcu też tylko hipoteza, bardzo zresztą prawdopodobną, ale już do jakiegokolwiek najazdu i jakichkolwiek walk brak nam nie tylko odpowiednich, ale w ogóle wszelkich materiałów, archeologicznych i pisanych. Może właśnie połączenie Śląska z Morawami było wynikiem obustronnej ugody? Zdarzały się takie wypadki, przypomnijmy Drewana serbskiego i Samona.

Równie ryzykowna wydaje się próba wiązania skarbu z Sońnicy (ok. 940) z rzeckimi wojnami, które „najprawdopodobniej wywołali Czesi (s. 144), a nawet współdziałający z nimi Polanie”, ponieważ także i o takich wypadkach nie zachowały się żadne dane. Zakładając nawet, że słuszne jest dopatrywanie się w każdym skarbie śladu jakichś walk i niepokojów, z równym prawdopodobieństwem możemy odnieść odosobnione znalezisko sońnickie na przykład do lokalnej krwawej waśni między dwoma sąsiadami. Wypadków podobnych na pewno nie brakło na ziemiach polskich w X w.

Polski podbój Śląska w ostatnich latach Mieszka I, a zwłaszcza wojny polsko-niemieckie w XI i XII w., sprowadza nas na grunt pewniejszy. Niestety tu właśnie spotykamy się ze szczególnie wyraźnymi nieścisłościami, które są wynikiem zbyt optymistycznego stosunku Autora do opracowań historycznych. Porównując fakty archeologiczne z przebiegiem wypadków wojennych, prof. Jamka korzystał przede wszystkim z obszernej pracy A. F. Grabskiego, *Polska sztuka wojenna w okresie wczesnofeudalnym* (Warszawa 1959), nie zważając, że książka ta, dzieło na pewno

zdolnego, ale niezbyt w swoim czasie doświadczonego autora, kryje w swej treści bardzo wiele sformułowań wybitnie dyskusyjnych, jeśli nawet nie wprost błędnych. Zwróciliśmy na to uwagę w recenzji, jak się zdaje nie znanej prof. Jamce (*Uwagi o metodzie badań nad wczesnośredniowieczną wojskowością polską — na marginesie pracy A. F. Grabskiego*, Kwart. Hist. Kultury Materialnej, R. 8: z. 3, 1960). Za jeden z najpoważniejszych braków *Polskiej sztuki wojennej* uznaliśmy tam brak ścisłości geograficznej (albo też źle zrozumiany nadmiar tej ścisłości!), łatwo widoczny zwłaszcza w przedstawionych przez A. F. Grabskiego mapach. Skonfrontowanie wywodów A. F. Grabskiego ze źródłami pisanymi, choćby tylko z Thietmarem, przekonałoby Autora *Osadnictwa grodowego*, że np. polsko-niemieckie walki na Śląsku toczyły się i przed 1010 r. Mamy tu na myśli parodniowe zmagania głównych armii obu stron walczących pod Krosnem, 1005 r. Również szczegółowe wytyczenie marszruty Niemców w r. 1010: „...Od Krosna wzdłuż lewego brzegu Odry... do Głogowa, a potem do Lubinia” (s. 145), w r. 1015: od Krosna „...wzdłuż prawego brzegu Odry do Głogowa” (*ibid*), w r. 1017: „od Krosna przez Bytom nadodrzański, Głogów, Lubin, Legnicę, Rokitnicę, Świdnicę do Niemczy” (s. 146), stanęłoby wówczas pod znakiem zapytania, bo przecież w źródłach zupełnie głucho i o dojściu do Lubina w r. 1010, i o marszu prawym brzegiem Odry do Głogowa w r. 1015, i o precyzyjnie wytkniętej drodze z Głogowa „przez Lubin, Legnicę, Rokitnicę, Świdnicę” do Niemczy w 1017 r. Wszystko to są domysły A. F. Grabskiego, i to domysły czasem mocno nieprawdopodobne (tak np. w wypadku dojścia Niemców do Głogowa w r. 1015). Tym bardziej jednak nie do przyjęcia jest sugestia prof. Jamki, który na podstawie rozrzutu skarbów wnioskuje, że teren działań wojennych był szerszy, „aniżeli go podaje Grabski, gdyż objąłby też prawobrzeżny Śląsk środkowy oraz jego pogranicze wschodnie prawie bezpośrednio przylegające do Górnego Śląska” (s. 147). Rzecz w tym, że to już nie Grabski podaje, ale Thietmar, w świetle którego mowy być nie może o rozszerzeniu terenu działań wojennych zwłaszcza na „Prawobrzeżny Śląsk środkowy”.

Tu jednak wypada rozważyć, o ile słuszne jest dopatrywanie się w skarbach przede wszystkim śladu najazdów, wojen i tym podobnych zaburzeń. Zrezygnujmy zatem ze szczegółowego rozbioru dalszych części omawianego artykułu (traktujących o wypadkach z późniejszych lat XI i z początku XII w.), a zatrzymajmy się przy tym następnym z kolei zagadnieniu natury metodycznej. Jak wiadomo, sprawa nie jest bynajmniej tak prosta, jak to dawniej przyjmowano, jak to przedstawił m. in. cytowany przez prof. Jamkę Gündel w swym wysoce sugestywnym artykule. Prace J. Ślaskiego (*Wielka własność ziemska na obszarze wczesnośredniowiecznej kasztelanii gieckiej w X i XI w.*, „Przegląd Archeologiczny”, R. 9: 1951—1952), S. Tabaczyńskiego (m. in.: *Z zagadnień wartości poznawczych skarbów wczesnośredniowiecznych*, „Archeologia Polski”, t. 1: 1957) i R. Kiersnowskiego (m. in.: *Pieniądz kruszczowy w Polsce wczesnośredniowiecznej*, Warszawa 1960) zwrócili uwagę na złożoność tego zjawiska i powinny skłaniać nas do znacznej ostrożności w formułowaniu sądów. Jeśli zresztą nawet zgodzimy się, że ostateczną przyczyną trafienia skarbu do ziemi była chęć ukrycia go przed groźącym rabunkiem, powstaje pytanie, czy zabezpieczano się w taki sposób tylko wzdłuż drogi, którą przetaczały się działania wojenne, tylko w ścisłym rejonie intensywnych walk? Przecież wieść o nadciągającym niebezpieczeństwie niosła się szeroko po kraju i na pewno powodowała zastosowanie środków ostrożności także i tam, gdzie ostatecznie nie dotarł żaden nieprzyjaciel. Zapewne w okolicach nie dotkniętych bezpośrednio wojną mniejsze było prawdopodobieństwo zgubienia skarbu, ale trzeba się liczyć, że i tam część dobra ukrytego w ziemi nie trafiała z powrotem do rąk właścicieli. W tym stanie rzeczy warto się zastanowić, czy np. skarby z pocz. XI w. skupiające się na Śląsku środkowym (biorąc ogólnie — w rejonie Niemcza—Wrocław) świadczą

toczących się tam walkach, czy też po prostu dowodzą, że w tym gęsto zaludnionym, bogatym rejonie, zaawansowanym w dziedzinie rozwoju społeczno-gospodarczego, żyło stosunkowo wielu ludzi dysponujących znacznymi zasobami srebra? Za drugą ewentualnością przemawiałby m.in. zupełny brak skarbów np. w okolicach peryferycznego Krosna, które w czasach Chrobrego co najmniej dwukrotnie były dowodem teatrem bardzo intensywnych działań wojennych (w r. 1005 i 1015).

Analiza rozrzutu skarbów ma dla prof. Jamki znaczenie tylko pomocnicze, ułatwiające konfrontację wydarzeń politycznych z obrazem osadnictwa grodowego uzyskanym przez zastosowanie metody izarytmicznej. Wydaje się, że i ta ostatnia część omawianej pracy zasługuje na omówienie krytyczne. Mniejsza już o nazwanie regionu Gubina i Krosna „terenem wyjściowym wszystkich najazdów niemieckich” (s. 152), gdy terenem tym były grody nadłabskie, a Krosno stanowiło właśnie jeden z kluczowych punktów polskiej obrony. Mniejsza o omyłkę, dzięki której pojawiła się w artykule prof. Jamki wzmianka o kampanii z r. 1011 (s. 153), kiedy w rzeczywistości w roku tym nie prowadzono żadnych ważniejszych działań. Znacznie poważniejsze zastrzeżenia musi budzić próba wiązania sukcesów lub porażek niemieckich z mniejszym lub większym zagęszczeniem grodów na tym lub owym terenie. Tak więc działania niemieckie rozwijały się pomyślnie wzdłuż Odry pomiędzy Krosnem a Bytomiem, bo tam intensywność osadnictwa grodowego osiąga zaledwie 1 stanowisko na 100 km<sup>2</sup>. Wybór tego kierunku działań wskazuje wg prof. Jamki „na doskonałą orientację Niemców o militarnym przygotowaniu Polski wczesnopiastowskiej” (s. 153). Sforsowanie „pasa umocnień głogowskich” w r. 1109 zawdzięczają Niemcy również umiejętnemu wykorzystaniu stosunkowo słabo umocnionej doliny Odry, „zwłaszcza po jej lewej stronie”. Odwrotnie: działania niemieckie paraliżuje skutecznie Bytom, znajdują poparcie w usytuowanym nieco ku południowi „wyspowym osadnictwie grodowym” (4 stanowiska na 100 km<sup>2</sup>). Równie „ciężki do przełamania” jest „zwarty pas osadnictwa grodowego, w skład którego wchodziły 2 stanowiska na 100 km<sup>2</sup> (czy to rzeczywiście wystarcza, aby mówić o „zwartym” pasie? — A. N.) między Bytomiem... a Głogowem” (wszystkie cytaty ze s. 153). Odcinek ten to przedpole właściwej strefy umocnień rozciągającej się między Głogowem a Legnicą (3 grody na 100 km<sup>2</sup>, miejscami do 7 grodów na 100 km<sup>2</sup>). Ta strefa jest zresztą fragmentem wielkiej elipsy otaczającej południową część Śląska środkowego wraz z przyległym skrawkiem Śląska Górnego i stanowiącej „podstawową strefę obronną Śląska” (s. 131). Tu załamał się rozpęd najeźdźców w r. 1010, a zapewne i w 1017 r. Po tym ostatnim niepowodzeniu podjęli Niemcy próbę zdobycia Niemczy, ale twierdzy tej „nie opanowali, gdyż położona jest w sąsiedztwie najgęstszych umocnień na Śląsku” (s. 153). Podane przykłady nie streszczają w całej pełni dowodzeń prof. Jamki, ale wystarczają, aby je gruntownie scharakteryzować. Uważnego czytelnika zastanowi tu przede wszystkim zupełne pominięcie czynników geograficznych. W rezultacie takiego nastawienia nie dostrzegamy np., że Niemcy wkroczyli na kierunek Krosno—Bytom raczej po to, aby wykorzystać biegnącą tędy najkrótszą drogę do Wrocławia (por. mapa: *Polska w okresie rozdrobnienia feudalnego*, zał. do *Historii Polski*, wyd. PAN, tom I, cz. 1) niż ze względu na tamtejszy obszar rozrzedzonego osadnictwa grodowego, który przecież mógłby się pokrywać z zasięgiem puszczy lub bagnisk, a więc stanowić nie ułatwienie, lecz przeszkodę w marszu. Odwrotnie, regiony obfitujące w grody, zatem gęsto zaludnione i zasobne, mogły sprzyjać prowadzeniu operacji wojennych. Nie ludźmy się, że o sukcesie Niemczan zdecydowała bliskość „najgęstszych umocnień na Śląsku”. Złudzeń tych nie żywił najbardziej kompetentny w tej mierze Bolesław Chrobry, który na wieść o zagrożeniu Niemczy natychmiast dosłał tam posiłki, a dostał je według wszelkiego prawdopodobieństwa ze swej głównej armii, niewiele widocznie spodziewając

się po sąsiadach obleganego grodu (Thietmar, VII 59, 60). Wiemy, że w taki sam sposób w r. 1109 Krzywousty starał się zwiększyć obronność Głogowa (Gall, III 4).

To rozpatrywanie wypadków dziejowych w pewnej izolacji od geograficznego tła wydaje się szczególnie niekorzystne tam, gdzie przybiera ono postać analizowania polsko-niemieckich zmagania na Śląsku wyłącznie w ramach tej dzielnicy, zatem właśnie w skali tylko śląskiej, zamiast w jedynie tu wskazanej skali szerszej: polsko-niemieckiej. Tracimy przez to z oczu zasadniczy sens kampanii śląskich polegający na walce o linię Odry, najważniejszą od zachodu linię obronną Polski piastowskiej. Na miejsce tej pierwszorzędnej bariery strategicznej, której opanowanie (tak! właśnie opanowanie, sforsowanie nie wystarczało) decydowało o wyniku wojny, wyrasta nam owa eliptyczna strefa zagęszczonego osadnictwa grodowego, mająca chronić najważniejszy obszar Śląska (i to jest wątpliwe, bo Głogów, Legnica, Wrocław, główne grody śląskie, leżą właśnie na peryferii tego obszaru!), tymczasem gdy w rzeczywistości rozgrywka szła o Poznań i Gniezno (1005, 1015, 1017, 1109, 1157 r.) albo Kraków (1109 r.), a więc nie tylko o Śląsk, lecz o całą Polskę, dla obrony której domniemana strefa eliptyczna nie mogła grać i nie grała żadnej roli.

Wydaje się, że wszystkie te dyskusyjne sformułowania merytoryczne, zawarte w omawianej pracy, wypływają z przyjętych w niej metodycznych założeń. Mimo całego należytego poważania, jakie żywimy dla Autora *Osadnictwa grodowego*, z założeniami tymi nie możemy się zgodzić. Artykuł prof. Jamki cenimy wysoko, bo wszelkie propozycje zmierzające do wzbogacenia środków poznawczych naszej dyscypliny są cenne i pożądane. Jednakże w świetle tego, co staraliśmy się tu przedstawić, skłonni jesteśmy przyjąć, że jak na razie mamy prawo z rezerwą traktować metodę izarytmiczną w ogóle, a w szczególności podjętą za jej pomocą próbę interpretacji osadnictwa grodowego na Śląsku.

Andrzej Nadolski